NUMER 39. DNIA 25. WRZEŚNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z rękopisów po Słowackim.

(Juljusz Słowacki: „Makryna Mieczysławska“, wydał i objaśnił dr. Henryk Biegeleisen. Z portretami przełożonej klasztoru i poety).

W rękopisie bruljonu „Króla Ducha“, znajdującym się w Bibljotece Ossolińskich we Lwowie, znalazł znany historyk literatury, a szczególnie w studjach nad Słowackim rozmiłowany dr. Biegeleisen, autograf „Makryny Mieczysławskiej“ i to częściowo w podwójnej redakcji. Mianowicie początek poematu przepisany na czysto ręką poety i właściwy bruljon w całości, pierwszy niejako rzut poematu, z którego prawdopodobnie Słowacki przepisywał go następnie na czysto.

Odkrycie to pozwoliło dr. Biegeleisenowi przystąpić do krytycznego wydawnictwa „Makryny Mieczysławskiej“, co też tem rychlej uczynić należało, ile że pierwsze wydanie poematu, mogącego co do wartości poetyckiej iść snadnie w paragon z „Ojcem zadżumionych“, dokonane zostało już po śmierci Słowackiego (w r. 1861) a jako takie posiadało wszystkie niedomagania wydawnictw pośmiertnych, spotęgowane jeszcze tym fatalizmem, który stale pod względem wydawniczym prześladował dzieła nieśmiertelnego wieszcza.

Wydanie dra Biegeleisena odpowiada wszelkim wymogom najnowszej, drobiazgowej krytyki literackiej, która nie przepuści najdrobniejszego nawet warjantu, zboczenia od właściwego, za podstawę przyjętego, tekstu, uwzględni przekreślenia i omyłki, a cały ten krytyczny aparat zostawi w formie przypisów, zestawień i porównań. Stąd też na 14 kart zajętych w wydawnictwie dra Biegeleisena na sam poemat przychodzi 43 kart na ten właśnie aparat krytyczny to jest na genezę poematu i jego warjanty. Sama geneza bardzo prosta: opowiadanie Makryny Mieczysławskiej, które ogłoszone w czwartym dziesiątku lat ubiegłego stulecia wstrząsnęło do głębi całą Europą. Dr. Biegeleisen porównuje to opowiadanie bardzo szczegółowo i drobiazgowo z poetycznem jego przetworzeniem przez Słowackiego, wykazując i uzasadniając najmniejsze nawet zboczenia i licencje poetyczne. Porównanie to pozwala autorowi na ustalenie czasu powstania „Makryny Mieczysławskiej“. „Dziennik narodowy“, pismo emigracyjne w Paryżu, podaje po raz pierwszy (w nr. 234 z 27 września 1845) bliższe szczegóły strasznego prześladowania Bazyljanek na podstawie opowiadania ksieni Mieczysławskiej. Słowacki, który czytywał współcześnie ów dziennik, zabrał się bezpośrednio pod pierwszem wrażeniem do odtworzenia tych scen dantejskiego piekła, tak że w czwartym kwartale r. 1845 poemat według wszelkiego prawdopodobieństwa był już ukończony.

Jakkolwiek autor zastrzega się, że niema zamiaru omawiania „Makryny Mieczysławskiej“ pod względem estetycznym, to jednak piękności tam zawarte spowodowały go widocznie do rzucenia charakterystyki krótkiej samego natchnienia i poetyckich obrazów, hojną dłonią poety rozsianych. Z charakterystyki tej widać, jak wysoko stawia autor „Makrynę Mieczysławską“ w rzędzie dzieł Słowackiego, wyznaczając jej miejsce obok „Ojca zadżumionych“.

A na zakończenie słowo o samej książce, jej autorze. O książce powiedzieć można, że *habet sua fata*, co się nawet odbiło na dacie jej wyjścia. Jako rok wydawnictwa bowiem wytłoczono na pierwszej

karcie tytułowej „1902“ na wierzchnim zaś tytule rok 1904. Zapytany o przyczynę tej osobliwości bibljograficznej dr. Biegeleisen rozjaśnia się tym swoim smętnym a melancholijnym uśmiechem człowieka, któremu rzadko tylko dostaje się uznanie w zamian za mrówczą pracę i wytrwałość i talent, a częściej gorzkie zawody i kamień na drodze. Książka wydrukowana została nakładem „Słowa polskiego“, tak powiada dr. Biegeleisen — jeszcze za starej redakcji, później gdy się stosunki zmieniły, podzieliła los starych redaktorów — zapomnienie... I jeszcze opowiada dr. Biegeleisen, z jakimi trudnościami walczyć musiał przy wydostaniu rękopisu i możności korzystania zeń. Ale pokonał wszystko... na gorycz nie ma miejsca w sercu tego cichego pracownika, a wspomnienia pomieszały się już myślą o przyszłości.., jakby znowu coś uszczknąć ze skarbów zazdrośnie strzeżonych przez mężów... urzędowego świata nauki... *F. J.*

OFIARA 3)

FRAGMENT W 3 AKTACH Z ROKU 46-go

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ORKANA.

(Ciąg dalszy.)

PAWEŁ *(wstaje)* Janie! Ja nie rozumiem wprost, jak ty możesz tak postępować z nimi... „Proszę siadać — sąsiedzi — raczcie przyjść na obiad“ — Co to wszystko ma znaczyć?

JAN. Żyję z nimi, jak z ludźmi. Czemuż cię to dziwi?

PAWEŁ. Wiem. Słyszałem. Wiadoma rzecz powszechnie. Ale aż tak... Nie, doprawdy, że trudno uwierzyć. Chyba dyplomacja? A, to znowu co innego. Ale ci powiem, Janie, że się mylisz. Mylisz się, sądząc, że ich tą dobrocią zjednasz.

JERZY. Za pozwoleniem, panie Pawle...

PAWEŁ *(do Jana)* Próbowałem i ja dobrocią — nie poradzi. Zjedzą ci wszystko, jeszcze się wyśmieją. Nie znasz ich. Widzę, że nie znasz swoich ludzi. Twój sąsiad zna ich lepiej. *(Wskazuje Piotra)* I wiesz, co sąsiad powiadał?...

PIOTR. Ten młodszy, który tu był z ojcem (czy z kim tam), kradł mi stojaki żyta. Mieszkają widać nad granicą. Sprałem...

JAN. I wierzysz, żeś go przez to oduczył kradzieży?

PAWEŁ. Ale się będzie bał!

JAN. Niewolnik wieczny...

PAWEŁ. Czy on wolność rozumie? Bojaźń mu jeszcze będzie długo panem...

JERZY *(występuje)* Ja w imieniu praw człowieka muszę zaprotestować...

KOLEDZY *(za nim)* Śmiało!

JERZY *(z naciskiem)* Muszę zaprotestować...

PAWEŁ. Prawa człowieka. Tak... wspaniałe hasło. Nadejdzie chwila może...

STUDENCI *(razem)* Już nadeszła!

PAWEŁ *(ostro)* Mnie życie samo dyktuje prawa: twarde i ostre, jak ta ziemia, którą muszę orać.

PIOTR *(wstając)* O — to jest dobrze powiedziane. Ja ze sąsiadem trzymam — niech się co chce dzieje. Te nowinki nie podobają mi się — to z Francji emisarjusze poprzywozili i przewracają ludziom głowy...

JAN. Historja tej ziemi...

PIOTR. Co tam! suchy szpargał...

JAN. Nie, Piotrze — zagony wilgne od krwi — to nie suchy szpargał! *(zapala się)* I nowe potoki poleją się napróżno, dopóki morze ludu nie wystąpi!.. Iluż nas jest? A choćby piekłem serca nasze wrzały — zginiemy...

STUDENCI *(z trwogą)* Nie!

JAN. ... jeżeli z nami nie powstanie lud.

PAWEŁ. Janie! Wygłaszasz stare prawdy.

JAN. Lecz sam w nie wierzę!

STUDENCI. Tak — i my wierzymy!

PAWEŁ. Na tej wierze oparta i nasza sprawa. Wiesz dobrze. Uczyniliśmy wszystko, aby zatrzeć niechęć zadawnioną. Przynieśliśmy im ulgi...

JAN. Lecz nie dajemy serc!

STUDENCI. Tak — nie dajemy serc!

PAWEŁ. Dajemy życie swoje za przyszłość jego, czyż to mało?

JAN. Chcesz, by uwierzył w to po tylu wiekach ucisku? Chcesz, by za jeden dzień zapomniał długiej przeszłości? Ukochał ziemię tę, co była jego macochą?...

PAWEŁ *(postępuje ku niemu — serdecznie)* Janie! Jakżeż to — i ty?...

JAN. Nie wątpię, bo inaczej nie wierzyłbym w czyn. Lecz wiara moja ma dalsze granice... Jutro — to jutro jest dziwnie rozpaczne... Serce zamiera z trwogi, choć duch wierzy... *(do zgromadzonych)* Słuchajcie!

Jeśli ma powstać lud — niech wstanie wolny!
Niech stanie przy nas, jako bratu brat!
Bo najemników każdy kupić może —
Bojaźń nie wiąże, ale rodzi strach!
A któż nieufność na pomoc przyzywa,
Jeśli śmiertelny rozpoczyna bój?!...
Otwórzmy serca nasze na oścież — niech widzi,
Że Chrystusowa miłość idzie z nas...
Zstąpmy do niego z miłością ogromną...

PAWEŁ. Janie! Twój zapał przelatuje wieki...
Co będzie jutro, nie jest jeszcze dziś.
„Przemień go! Przemień w króla i kapłana —
„Lecz póki jeszcze nie przekrólewszczony,
„Nie klękaj przed nim! Nie kładź mu korony!...“

JAN *(zrywa się ku niemu)* Wieszczysz słowami tych, co w strachu bledną! Jeżeli wiara moja fałszem będzie — zginę... Lecz z tego zgonu sto powstanie wiar — nowych i świeżych... Dogmaty padają... jedno Uczucie nieśmiertelnie trwa! *(d. s.)* I nie wiem, skąd ja między wami się znachodzę...

STUDENCI. Pawle! Janie! Po co te kłótnie w wilię ofiary? po co?

JERZY. Dwa dni oddziela nas od czynu...

JAN. A wieki całe rozdzielają nas... *(postępuje ku zgromadzonym)* Słuchajcie, bracia! Wierzycie w przyszłość narodu, w jego słoneczną przyszłość, południową?

WSZYSCY. Życie za wiarę tę łożymy!

JAN. Czyż inaczej można ją zrozumieć, niż jako harmonję serc, jako jedno wielkie morze pojednania, nad którem słońce - sprawiedliwość krąży nieustannie? Powiedzcie!... Przed nami płonęły stosy — ginęły ofiary — dymiła się krew... Czyż marnie zginie posiew boży, nie zapalając serc?... Dźwigamy się bezprawiem przywaleni — i znowuż mamy popiołami być, na których nowy zapanuje gwałt i nowe krzywdy ustanowią państwo?! Tak nie powstawał żaden lud prawdziwie — lecz jak powstawał, to od nowa — najstarsze prawa darł — nowe krwią wypisywał — więzienia nawet otwierał na oścież...

JERZY. Rewolucja francuska...

PIOTR. Co, acan z rewolucją?...

JAN. ... i dążył przez męt i zamęt ku harmonji istotnej, którą wyrażał trój-imieniem: równość — wolność — braterstwo...

PAWEŁ. Czyż to hasło nie było na naszych sztandarach?

JAN. Na sztandarach, a nie na sercach pisane... Z serc poczyńmy sztandary — niech się miłością rozżarzą — niech się staną promieniste, jak monstrancje niesione ku słońcu — za niemi ruszy lud procesjami...

STUDENCI. Brawo!

JAN. Któż się nam oprze, jeżeli miłość powiedzie? Miłość nie słowo — miłość czyn! Ta cuda potrafi zdziałać. Widzieliśmy już taki cud w dziejach — rzesze idące na zdobycie świata...

PAWEŁ. Janie! Trwoga mi idzie od słów twoich... Widzę za twoim zapałem niewiarę. Tak właśnie mówią ci, co wątpią, aby zagłuszyć wątpienie.

JAN *(wybucha)* Mamyż my działa na armaty wroga? Mamyż okopy, szańce najeżone, mury, którychby piersią nie rozwalił? Mamyż my nawet dosyć ciał, by padłe, murami żywymi się stały?

PAWEŁ. Właśnie o tem rozprawialiśmy w Krakowie. Okoliczności szczęśliwe. Kraj ogołocony z wojska — zanim zdołają ściągnąć...

JAN. Rachuby!...

PAWEŁ. Dokładniejsze obaczysz w planach, w instrukcjach...

JAN. Jedyna nasza moc i siła w sercach! Rozżarzmy je do potęgi, aż do miłości-czynu! Wymażmy stare prawa, które ludowi są krzywdą, a nowe wypiszemy krwią serdeczną wspólnie. W tem przykazaniu serc spełnionem jedyna wiara zwycięstwa! Prawda — czas krótki — trudno naprawić w tych paru dniach wieki. Ale czyż sercu jest czyn niemożliwy, jeżeli miłość nakazem? Jeden moment wystarczy, aby przekreślić księgi krzywd, pisane przez wieki całe!... W momencie rodzą się światy. Nie straćmyż tego momentu! Myśl boża sercu się jawi wprzód, nim ją rozum człowieczy ogarnie. Wyczujmyż tę chwilę sercem, nim rozum dojdzie do niej po ofiarach. Chciałbym być głosem ogromnym, abym był wszędzie słyszany w tej chwili drżącej od poczęcia czynu. Niech serca nasze czuwają w tej martwej ciszy brzemiennej, bo myśli boże idą górą. Niech dzień ostatni przed czynem będzie jako ów wieczór ostatni, gdy Pan z uczniami pożywał. Ów wieczór przed Ofiarą był takim momentem, gdzie poczęła się miłość-czyn, wiodąca później rzesze na zdobycie świata... I to jest moje pragnienie — jeśli chcecie: wiara. Chciałbym z tego pragnienia tysiące stworzyć płomieni, aby — jak Ducha świętego zesłanie — w serca zażegły moc ofiary, językom dały ognistą mowę miłości, du-

szom wątpiącym skrzydła... Cały tem pragnieniem żarzę się — gorzeję. Gdyby mi serce padło dać w ofierze — to cisnąłbym je całą siłą ducha, aby się jak meteor w tysiące gorejących krzemieni rozprysło — aby w tysiące serc oziębłych padły okruchy gorejące mojego serca strzaskanego!... Ofiarą cały spłonąłbym ochotnie, iżby wszyscy, w naturze swojej odrodzeni przez miłość-czyn, stali się gminą Chrystusową, jak owi rybacy prości, którzy... w swych... sercach... pokor... *(słania się — głos mu wzruszeniem silnem drga).*

MARJA *(która weszła podczas mowy Jana i stoi przy drzwiach — podbiega z krzykiem)*: Janie!

PAWEŁ. To nic... Oddechu mu zabrakło.

JAN *(osuwa się na krzesło).*

PIOTR. Po co się tak zapalać? Można to samo powiedzieć spokojnie.

JERZY *(do Marji).* Niech się pani nie obawia. To nieraz tak. Człowiek by chciał przelać serce swoje...

MARJA *(w płaczu)* Ale jemu to szkodzi!

JAN *(podnosi się z trudem)* Marjo! Nie grałaś dziś...

MARJA *(podbiega, radośnie przez łzy)* Chcesz?...

STUDENCI *(za nią)* Niech pani gra! O, pani Marjo!

MARJA *(do Jana)* A ty...

JAN *(trze czoło dłonią)* Muszę pomówić... *(wskazując oczyma Pawła)* o sprawie... chociaż...

MARJA *(zbliża się)* Cóż?...

JAN. Lepiej, żebyśmy sami zostali.

MARJA *(do studentów)* To proszę... ale... chyba coś bardzo smutnego...

STUDENCI. Dobrze! dobrze! Będzie nam weselej... *(wychodzą za Marją).*

JAN. Więc... już... pojutrze... *(Chwila milczenia... Piotr, Paweł chodzą zamyśleni).*

MAGDUSIA *(wchodzi, zbiera talerze ze stołu — zebrawszy, chce podejść do Jana — waha się — rzuca spojrzenie w stronę Pawła, który ją obserwuje — cofa się, odchodzi).*

PAWEŁ. Kto jest ta dziewczyna?

JAN. To — Magdusia... o której mówiłem z Jastrzębiami... cóż?

PAWEŁ. W postaci jej było coś... coś, jakby ciche ostrzeżenie... *(nagle)* Pewnym ty jesteś swojej wsi?

JAN. Jak siebie samego.

PAWEŁ. To już... nic. Chciałem ci tylko powiedzieć, byś nie ufał zbyt... chłopom, bo ja mam dowody, że... *(Jan żachnął się. Paweł przerywa. Piotr zbliża się ku nim. Z za sceny słychać parę akordów fortepianowych i stłumiony oddaleniem)*

CHÓR. „Cóż my winni, że kochać nie możem...
i t. d.

PAWEŁ *(podchodzi, zamyka drzwi i wraca ku stołowi — siadają obaj z Piotrem).*

JAN *(staje za nimi, zapatrzony przed się).* Dziś musicie wracać?

PAWEŁ. Tak. Posłańcem tobie jutro damy znać... *(wyjmuje papiery)* A teraz wspólnie układajmy plan...

JAN *(d. s,)* Pojutrze...

CHÓR *(z fortep. za sceną)*:

„Wstańmy jako upiorów gromada,
We krwi wrogów ugaśmy... *(forte).*

(Kurtyna szybko spada.)

(C. d. n.)

HENRYK PONTOPPIDAN.

Można by powiedzieć o Henryku Pontoppidanie, że nienawidzi liryzmu nienawiścią liryka — wyraził się o tym pisarzu krytyk duński Jensen.

Rzeczywiście Pontoppidan nienawidzi wszystkiego, co słabe, co miękkie; wszelka marzycielska niemoc jest mu wstrętna, — gotów on plwać na własną duszę, że kiedykolwiek śniła i marzyła. Jest w nim, jako w typowym Duńczyku coś z Hamleta, przeciwko czemu zapamiętale walczy, chcąc wyplenić wszelką poetyczną, bezowocną zadumę zarówno w rodakach swoich, jak w sobie samym.

Syn pastora prowincjonalnego, urodził się Henryk Pontoppidan r. 1857. we Fredericji; szkołę średnią kończył w miasteczku Randers, poczem udał się do Kopenhagi na studja politechniczne. Żądny wrażeń, pragnąc poznać obcy świat i ludzi w najbliższem zetknięciu się z nimi, przeszedł pieszo Niemcy i Szwajcarję. Powrócił ożywiony jak najlepszemi chęciami służenia ojczyźnie nabytem doświadczeniem technicznem.

Lecz szersze stosunki zagraniczne nie mogły się pomieścić w ciasnych ramach Danji. Wrażliwy Pontoppidan zniechęcił się, porzucił wielkie plany,

zawód obrany i poświęcił się nauczycielstwu ludowemu, aby skoro się nie udało nic zrobić w stolicy, wpuścić nieco świeżego powietrza w zatęchłe życie prowincji.

Ale i tu praca szła opornie, nie dając zadowolenia gorącemu, nieznoszącemu połowiczności, krzewicielowi światła i postępu. Że świat rzeczywisty tak daleki był od wyśnionego ideału, że zapał napotykał raz w raz na nieprzezwyciężone przeszkody, o które łamały się skrzydła zapaleńców, że ci, którzy głosili piękne hasła, przycichli i usunęli się w zacisze, że wszystko to krwawiło mu serce, mścił się Pontoppidan, w szeregu prac mniejszych i większych szydząc i drwiąc bez miłosierdzia z ognia i uniesień młodzieńczych. Po co piękne sny roić, skoro kresem ich ma być kromka chleba suto okraszona masłem, którąby można zjeść w błogim spokoju, niezamąconym żadną śmielszą myślą?

To jest zasadnicza idea pierwszych prac Pontoppidana, jak: Staekkede Vinger (Podcięte skrzydła) To Gange mödt (Dwa spotkania) a zwłaszcza nowelki p. t. Nattevagt (Straż nocna), gdzie przez usta malarza Jörgena Hallara wylewa autor całą swoją żółć na tę: „zarazę mrzonek, bałwochwalstwo piękna, na to świeże panoszenie się starych mar".

Najszerzej rozwinął tę ideę w trylogji powieściowej, na którą składają się: Muld (Humus), Det forjaettede Land (Ziemia obiecana) i Dommens Dag (Dzień sądu). Bohater, ksiądz Emanuel Hansted pała gorącą chęcią krzewienia zasad prawdziwego chrystjanizmu wśród proletarjatu świata. Wierzy on w wielki przewrót, który oczyści społeczeństwo. Rozkochany w ludzie, żeni się z wiejską dziewczyną i osiada na wsi. Po kilku latach przekonywa się, że ta ziemia obiecana nie dała mu tego, czego pragnął. Rozczarowany, zawiedziony, opuszcza wieś, żonę, zdziera z siebie suknie kapłańskie i rzuca się w wir życia stołecznego. W trzeciej części powraca na wieś i głosi, że jedynym warunkiem życia prawdziwie chrześcijańskiem życiem jest ubóstwo. Przejęty naprzemian to wiarą w święte swoje powołanie, to znów poddający się zupełnemu upadkowi ducha, umiera blizki obłędu.

Bohater tej trylogji to zdaniem autora wytwór niezdrowego, wybujałego sentymentalizmu, to „produkt lirycznego procesu gnicia, który obecnie przechodzi ludzkość starego świata".

Prace dotąd wymienione pisane są pod wpływem bezpośrednich wrażeń, są więc przepojone goryczą, jadem, bo Pontoppidan gorzko odczuwa wszelki zawód. Bardziej zrównoważone, chociaż także pełne sarkazmu i bezwzględnej krytyki, lecz bardziej przedmiotowe są powieściowe tomiki, zlewające się w rodzaj epopei prozą p. t. Lykke-Per, zwłaszcza późniejsze. Wyszło ich w ciągu lat kilku siedm, oczekiwany ósmy ma stanowić zakończenie. Bohatera swojego, owego Pera-Lykke wprowadza autor w rozmaite sytuacje, aby miał możność dania obrazu wszystkich stanów i warstw społecznych duńskich. Przeprowadza więc pod chłostą szyderstwa swego i młodzież hałasującą dużo a pracującą mało i duchowieństwo tyrańskie a obłudne i spanoszonych żydów finansistów i zaśniedziałą parafiańszczyznę a wśród nich wszystkich bohatera, marzyciela, bojownika niby, który porywa się na wszystkie świętości, chce walczyć za lud — a kończy powrotem do sielskich rozkoszy, na dobrej posadzie, przy boku pięknej, naiwnej córy proboszcza wiejskiego. Zresztą nie wiadomo, co przyniesie tom ósmy. To, co jest, jest krytyką wszystkich urządzeń społecznych i kościelnych w Danji i całego pokolenia chwiejnego, pozbawionego charakteru i siły woli.

Miewa jednak Pontoppidan chwile większej swobody umysłu, gdy bez żółci, lecz z ironją lekką, podkpiwa sobie w noweli p. t. Den gamle Adam (Stary Adam) ze złudzeń miłosnych lub w Minder (Wspomnienia) przeżywa pamięcią lata dziecięce, w których szarą przędzę codziennego życia wplotły się tęczowe, pajęcze nici marzeń.

Z bliskiego zetknięcia się z ludem (w roli nauczyciela) wyniósł Henryk Pontoppidan gruntowną znajomość chłopa, jego sposobu czucia i myślenia. W pierwszej czerpanej z życia ludowego noweli zatytułowanej Sandinge Menighed znać jeszcze gniew autora na ckliwe chłopomaństwo, uprawiane w mieście, a nie mające nic wspólnego z miłością do ludu, opartą na znajomości jego, ale już w następnych, zebranych w zbiorki p. t. Landsbybilleder (Obrazki wiejskie) i Fra Hytterne (Z chat) przejawia się tylko ogromna miłość i współczucie dla proletarjatu wiejskiego. Bohaterami tych obrazków bowiem nie są zamożni gospodarze wiejscy, lecz przeważnie biedni komornicy, nie posiadający ani skrawka pola, ani chaty własnej.

Pontoppidan nie chce jak inni z jego pokolenia zadowolnić się sztuką obserwacji i wiernego odtwarzania, nie chce być tylko znakomitym narratorem i świetnym stylistą, chce być karcicielem i zwiastunem, — powiedział o nim wyżej wspomniany krytyk.

W odpowiedzi na ten sąd znanego krytyka, wyszła nowela p. t. Den lille Rödhaette (Czerwona czapeczka). W pracy tej dowiódł autor, jak

słuszny był sąd krytyka, to jest jak znakomicie umie patrzeć i odtwarzać. Rzeźbiąc wspaniały posąg, przeniknął ducha modelu i oto stanął przed nami żywy twór, nieugięty w swojej konsekwencji, hardy, potężny. Bohaterka ma odwagę pozostać sobą do ostatniego tchnienia. Jakkolwiek pobudki, skłaniające ją do tego są ohydne, imponuje nam ta siła i mimowoli nasuwa nam się uwaga: gdyby życie inaczej się było dla niej ułożyło, jakażby to była kobieta wielka w dobrem, jak umiała być wielką w złem!

Takiem pragnie mieć Henryk Pontoppidan swoje pokolenie: z jednolitej, hartownej bryły kruszcu, nie zlepki, które się na wietrze kruszą, — dlatego, chociaż, jak w ostatniej pracy dowiódł, umie tworzyć tylko dzieła sztuki bez widocznego celu, chce budzić swoje społeczeństwo i dodawać mu sił a nadaje się do tego, jak żaden z duńskich pisarzów obecnej doby, gdyż prócz znakomitego pióra posiada nieustraszoność i zdumiewającą śmiałość w objawianiu swojego bezwzględnego a zawsze sprawiedliwego sądu.

Józefa Klemensiewiczowa.

EDMUND LIBAŃSKI.

Technika walk podmorskich.

(Dokończenie.)

W r. 1902 zwróciła marynarka rosyjska uwagę na zupełnie nową konstrukcję statku podwodnego inżyniera Kutejnikowa i oficera Kolbasiewa. — Statek ich w długości 15 m a pojemności 20 ton, nazwany „Piotr Koszka“ (na pamiątkę marynarza, który wsławił się w r. 1878 podczas ataku na flotę turecką) składa się z dziesięciu szczelnie dopasowanych komór stalowych, które razem złączone i ześrubowane stanowią jednolitą całość.

Środkowe 3 oddziały mieszczą machinę dynamo, obracającą 6 śrub — dwie służą do jazdy, dwie do sterowania i zwrotów a dwie do zanurzania i wznoszenia się.

Akumulatory umieszczone są w dalszych sekcjach, a cały statek da się rozłożyć na 9 części o długości 2·2 m., szerokości 4·4 m. i 2·7 m. wysokości.

Waga poszczególnych części nie przenosi 2000 klg., łatwy jest więc transport koleją lub okrętem.

Zmontowanie tego statku podwodnego uskutecznia wyćwiczona załoga w przeciągu pół dnia.

W r. 1903 dziesięć takich statków znajdowało się w drodze do Azji wschodniej, a już podczas budowy tychże zakupiono nowe plany na statek podwodny konstrukcji kapitana Bubnowa.

Statek Bubnowa zbudowany w zasadzie jak angielski, w długości 24 m. a szerokości 4·6 m., o pojemności 32 ton, tworzył całość złożoną z 4 sekcji i posiadał urządzenie pomocnicze wypełnione korkiem, dla pędu w górę. — Szczegóły konstrukcji były tak dobrze obmyślane, iż wynalazca otrzymał za plany 25.000 rubli i natychmiast rozpoczęto w dokach kronsztadzkich budowę znaczniejszej liczby tych statków podwodnych celem transportów koleją na teren wojny rosyjsko-japońskiej.

Podmorska flotylla japońska złożona jest z statków typu angielskiego i amerykańskiego.

Wziąwszy pod uwagę dotychczasowy rozwój w tej nowej dziedzinie postępu technicznego, musimy przyznać, że w nader krótkim czasie dokonano całego szeregu coraz lepiej odpowiadających celowi dzieł, rozwiązano niejedno zagadnienie, które początkowo zdawało się być nierozwiązalne i nie należy wątpić, że wytrwałość współczesnej techniki i dążności czasu kierować będą oryginalne pomysły do najdoskonalszej budowy statków podwodnych.

Statek podwodny służyć bowiem może nietylko groźnemu bożkowi wojny, ale i dobroczynnym bogom pokoju, a i w tym kierunku zaznacza technika współczesna nader wybitny postęp...

W październiku r. 1903 przeprowadzono we Włoszech zajmujące próby ze statkiem podwodnym: „*Hydroskop*“ wynalazku prof. Giuseppe Pino.

Statek ten 16 stóp szeroki, 30 stóp długi, cały ze stali, posiadał koła do poruszania się na lądzie i dnie morza, u boków jego znajdywały się mechaniczne ramiona i ręce, które wprawione w ruch przez maszynerję wewnątrz statku podnosiły się, zaginały, wyciągały zupełnie tak, jak ramiona ludzkie.

Na polecenie ministra marynarki zatopiono zwykłą łódź w zatoce genueńskiej w miejscu, gdzie karty morskie wykazywały głębokość 300 stóp.

Wynalazca miał przy pomocy swego „*Hydroskopu*“ odszukać ją i wydobyć, a dodać tu należy, że głębokość ta przekracza granice możliwej pracy nurka.

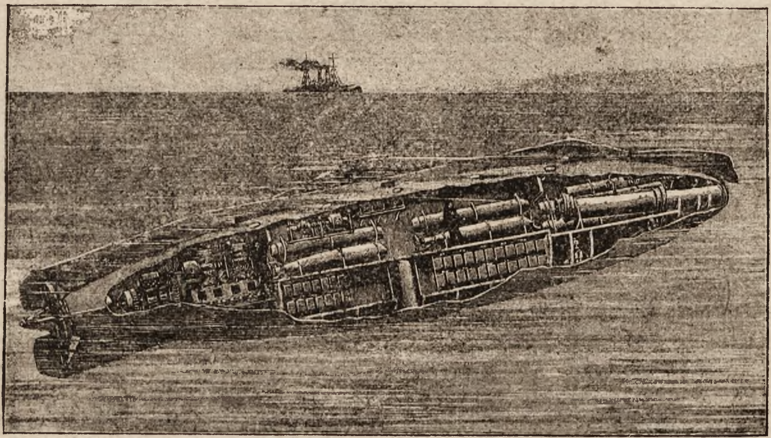
Statek podwodny Prof. Pino zanurzył się — za pomocą telefonu sygnalizował wynalazca licznie zgromadzonym widzom wszystkie zdarzenia spotykające go w głębinach a po 10 minutach wypłynął *Hydroskop* na powierzchnię, — żelazne ramiona niosły zatopioną 2 dni temu małą łódź.

Rzeczoznawcy wyrażali się z nadzwyczajnem uznaniem o konstrukcji tego statku, podnosząc szczególnie znakomity wynalazek n o w e g o ś w i a t ł a, które niezwykle jasno i wyraziście rozświetlało wodę i dno morza w promieniu 200 metrów, tak, iż najmniejsze przedmioty można było widzieć wolnem okiem.

„Z udoskonaleniem żeglugi podmorskiej zdobędzie ludzkość olbrzymie kraje, rozleglejsze od naszych kontynentów; tam znajdą się nowe skarby, nowe prace, nowe zwierzęta i rośliny, nowe ciała — nowe zagadnienie dla wiedzy, nauki i techniki.

Dno Oceanu będzie miało swych badaczy podróżników, tak jak tajemnicze kraje podzwrotnikowe i arktyczne, będzie miało swych męczenników, swe tragedje.

Niedawno temu trzej oficerowie marynarki, chcąc zbadać, dla czego „statek podwodny“ nie wznosi się na powierzchnię, zanurzyli się przy pomocy aparatów nurkowych w głąb i proszę sobie wyobrazić przerażającą grozę ich położenia!...



Ryc. 7. AMERYKAŃSKI STATEK PODWODNY.

Szczegóły zachowano dotychczas w tajemnicy wiadomem jest tylko tyle, iż rząd przeznaczył znaczne sumy na urzeczywistnienie i wydoskonalenie pomysłów wynalazcy.

Sam wynalazca marzy podobnie jak i swego czasu „H o l l a n d“ o budowie takiego statka podwodnego, któryby nietylko umożliwił rozświetlenie tajemnic głębin Oceanu dla wiedzy i nauki, ale służył również jako dogodny i bezpieczny środek dla przewozu osób i towarów pod falami w ciszy, zastępując w zupełności dzisiejsze parowce oddane na łaskę lub niełaskę burzy i groźnego żywiołu.

Te dalekie niedoścignione jeszcze cele współczesnej techniki, budzić mogą niejednokrotnie sceptyczny uśmiech — warto jednak uprzytomnić sobie, że opisanie np. dzisiejszego rzeczywistego świata cudów nowoczesnej techniki, pracy machin, telegrafów, telefonów, byłoby dla generacji 50 lat wstecz, rozszalałą wizją jakiejś bajecznej fantazji.

Nie dziw więc, że pełen młodzieńczego ducha osiwiały Verne pisze:

W głębi morza 100 metrów pod powierzchnią atakowała ich banda rekinów!...

I pewnego dnia walczyć będą ludzie o jaskinie oceanowe, kryjące kosztowne perły — toczyć boje o skarby dna morskiego, tak jak dziś przelewają krew o miny złota w Transwaalu.

Państwa anektować zechcą części dna morskiego, tak jak dotychczas tereny zamieszkane i niezamieszkane, zakładać będą podmorskie kolonje, bronione straszliwemi minami“.

Lecz może — w to wierzyć nam trzeba — może kiedyś przyjdzie czas, że genjusz ludzki przestanie się wysilać na rzecz w o j n y a wówczas wielkie dzieła pokoju urzeczywistnią świat najszczytniejszych marzeń wielkich szlachetnych umysłów dzisiejszego pokolenia i tych serc, które wzywają ludzkość do „miłości i pokoju“!...

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Wasyl Stefanyk: Klonowe Liście. Z ukraińsklego przełożył Michał Moczulski. Lwów 1904. Księgarnia Polska (B. Połonieckiego). Warszawa: E. Wende i Sp.*

Stefanyk, ten najbardziej utalentowany nowelista ukraiński, wżarł się w chłopstwo, wgryzł się w duszę chłopa i każda jej rozpacz, czy nadzieja, każdy smutek, ból, śmiech, czy płacz — jest równocześnie rozpaczą, smutkiem, bólem, śmiechem i płaczem Stefanyka. Jedyna w literaturze świata — od początku swego bytowania czysto l u d o w a literatura ukraińska zwraca na się uwagę tą mroczną zadumą stepów, nieokiełznaną tęsknotą w dal, ku słońcu, ku prawdzie wieczystej — tą nigdy niezłamaną wolą dążenia naprzód. Stefanyk, to głęboki wyraz ruskiej wsi. Idzie on swoją własną drogą wśród kłośnych pól, wśród zatęchłych, brudnych z nędzy wsi — włóczy się po karczmach, koło dworów, do miasta zaziera czasem... Jak lirny dziad śpiewa idący o troskach swoich i o troskach braci.

Wybór jego nowel i opowiadań przyswoił naszej literaturze p. M. Moczulski, ale przyswoił — mojem zdaniem — źle; słabo umiem po rusku, ale dorywczo czytałem w oryginale „Wieczorną godzinę“, „Kamienny krzyż“ i „Złodzieje“ Stefanyka. Byłem zachwycony wtedy, zwłaszcza „Wieczorną godziną“ i „Kamiennym krzyżem“. Dziś — w przekładzie p. Moczulskiego robią te utwory całkiem inne wrażenie. Jedynie „Besarabowie“ nie tracą może nic w przekładzie na swym odrębnym kolorycie i na oryginalnem ujęciu. Przytem za dużo w tych przekładach błędów stylistycznych. Stefanyka tłumaczyło u nas wielu, między innymi Orkan. O ile sobie przypominam w r. 1902 były umieszczone w „Tygodniu“ „Klonowe liście“ w jego przekładzie — przekład był pyszny. Jest w tem ta przyczyna, że chłop Stefanyka, a chłop Orkana, to prawie bracia psychiczni. I właśnie Stefanyka trzeba tłumaczyć gwarą Orkana, jego słowem. Wtedy dojdziemy do niego głębiej i głębiej będziemy z nim cierpieć. Ogólnie jednak rzecz biorąc, trzeba być wdzięcznym p. Moczulskiemu, że postarał się dać poznać naszej publiczności piękne utwory Stefanyka. *Fel. Gw.*

NOTATKI. *Obrazy Matki Boskiej we Lwowie.* Gotujący się z wielką pompą i uroczystością obchód rocznicy ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu przypomina, że kult Matki Boskiej we Lwowie ma odległą tradycję za sobą i mistyczną wiarę, która objawiała się dawniej w czasie każdej trwogi i nieszczęścia powszechną manifestacją ludu lwowskiego przed cudownymi obrazami. Dochowało się ich po dziś dzień kilka, a pierwsze miejsce zajmuje obraz Matki Boskiej Łaskawej w głównym ołtarzu k a t e d r y r z. k a t. Obraz ten znany także pod nazwą M a t k i B o s k i e j D o m a g a l i c z o w s k i e j wiąże ze sobą rzewne wspomnienie. Oto mianowicie geometra lwowski Józef Wolfowicz po śmierci swej wnuczki Domagaliczówny w r. 1598 wyrysował niewprawną ręką na desce obraz Matki Boskiej w „żałości“ wielkiej za dziewczyną i zawiesił go na zewnętrznej ścianie katedry od ulicy Halickiej. Później obraz ten zasłynął cudami do tego stopnia, że w r. 1646 przeniesiony został do wnętrza katedry, a następnie po wybudowaniu przy murze katedry kapliczki umieszczony w niej jako „największy klejnot miasta i *palladium* województwa ruskiego“. Kapliczka ta przechodnia, wybiegająca aż do połowy ulicy Halickiej, przepełniona była dniem i nocą tłumami pobożnych, a wartość wotów w niej zawieszonych przechodziła krocie tysięcy. W r. 1765 arcybiskup Sierakowski po uporczywym procesie z miastem kazał zburzyć kaplicę a obraz przenieść do głównego ołtarza katedry, gdzie się po dziś dzień znajduje.

Drugim sławnym obrazem we Lwowie jest obraz M a t k i B o s k i e j R ó ż a ń c o w e j u D o m i n i k a n ó w, malowany na desce cyprysowej i widocznie bizantyńskiego pochodzenia. W r. 1270 miał go książe ruski Lew darować Dominikanom. Obraz ten został w r. 1751 z niesłychaną pompą i przepychem ukoronowany. Na tę pamiątkę wydano olbrzymi foljał p. t. „Hasło słowa Bożego etc.“ ze sztychami Jerzego Wyszlowskiego i bito medale pamiątkowe ze złota, srebra i miedzi wielkości talarów, półtalarów, tynfów i szóstaków. Na tę pamiątkę wzniesiono również kolumnę, która po dziś dzień istnieje na opuszczonym cmentarzu gródeckim przy ulicy Szeptyckich. Cuda tego obrazu opowiada starodawna pieśń, zaczynająca się od słów: „Najświętsza niebios i ziemi królowa, Diedziczna Pani stołecznego Lwowa...“

W kościele Dominikanów znajduje się też bardzo starożytna, pod względem zabytkowym i sztuki niesłychanie ciekawa statua a l a b a s t r o w a M a t k i B o s k i e j J a c k o w e j, przywieziona przez św. Jacka Odrowąża w r. 1238.

W katedrze ruskiej św. Jura znajduje się cudowny obraz M a t k i B o s k i e j T r e m b o w e l s k i e j, przeniesiony do Lwowa w r. 1673 przez episkopa Szumlańskiego. Obraz ten, malowany na drzewie, przedstawia Matkę Bożą w stylu bizantyńskim. Twarz jest przemalowana.

W katedrze ormiańskiej znajduje się obraz M a t k i B o s k i e j J a z ł o w i e c k i e j również w stylu bizantyńskim, o którym są wzmianki już od r. 1424. Po wędrówce z Jazłowca do Brodów przeniesiono ten obraz w r. 1692 z rozkazu Wacława Hunaniana, arcybiskupa ormiańskiego do katedry we Lwowie.

U Karmelitów znajduje się cudowny obraz M a t k i B o s k i e j S z k a p l e r z n e j przeniesiony tu w r. 1789 z dawnego, nieistniejącego dziś klasztoru Karmelitów przy dzisiejszej ulicy Batorego. Wreszcie w kościele św. Anny jest cudowny obraz M a t k i B o s k i e j p o d o b n o L o r e t a ń s k i e j, a u Jezuitów obraz M a t k i B o s k i e j P o c i e s z e n i a, o którym kronika klasztorna wspomina od r. 1636, a który ma być obecnie ukoronowany. Ciekawą jest również tradycja, o której wspomina Zimorowicz na podstawie starego rękopisu ruskiego, że obraz Matki Boskiej Częstochowskiej przez długie czasy przechowywany był we Lwowie, jeszcze przed przeniesieniem go na Jasną Górę. *Fr. Jaw.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.